



## Inauguracja roku akademickiego 2013/2014 na Uniwersytecie Warszawskim 1 października 2013 r.

**Profesor Marek Okólski**

### Wykład inauguracyjny „Nie ma bogactwa ponad ludzi - czyli dlaczego bardziej opłaca się śledzić trendy demograficzne niż notowania giełdowe”



Fot. Mirosław Kaźmierczak.

**Magnificencjo,  
Panie, Panowie,**

Pierwsze słowa tytułu tego wykładu wypowiedział Jean Bodin, XVI-wieczny myśliciel, wybitny teoretyk państwa. W dostrzeganiu fundamentalnego znaczenia ludności dla społeczeństwa i państwa nie był odosobniony. Fernand Braudel, jeden z czołowych badaczy historii czasów nowożytnych, utrzymywał, że pokaźne zwiększenie zaludnienia Europy w XVI wieku - nazwał je „rewolucją biologiczną” - wywołało presję demograficzną i potrzebę jej złagodzenia. To zaś pobudziło powszechną innowacyjność, a elity skłoniło do śmiałych wizji politycznych i ekonomicznych, oraz, między innymi, stało się impulsem do odkrycia i kolonizacji Ameryki. „Gdyby nie to pomnożenie ludzi - pytał retorycznie - to czy dokonano by tych świetnych czynów?”. Z kolei, bardzo duży wzrost liczby ludności poza Europą w drugiej połowie XX stulecia, zwany eksplozją ludnościową, jest

uważany za podstawowe źródło „zielonej rewolucji”. Dzięki tej rewolucji - czerpiącej z odkryć fitopatologa i genetyka Normana Borlauga oraz rozwoju agrotechniki - po raz pierwszy w dziejach ludzie są w stanie wytwarzać znacznie więcej żywności niż jej potrzebują, a głód przestał być losem i przekleństwem ubogich na całej Ziemi.

W myśli humanistycznej i społecznej nieustannie przewija się refleksja o znaczeniu ludności pojmowanej jako zbiorowość ludzi zorganizowanych w społeczeństwo. Intuicyjnie jesteśmy skłonni zgodzić się, że z jednej strony nadrzędnym celem społecznego działania są ludzie i zaspokojenie ich potrzeb, a z drugiej - że zarazem cel ten realizują ci właśnie ludzie jako kreatorzy i wytwórcy. Jednakże nad tą refleksją ciąży posępna wizja konieczności okresowego przezwyciężania nieuchronnego przeludnienia. Posępna, bo wymagająca wielkich ofiar wynikających z fal głodu, epidemii czy wojen powodowanych przez nadmiar ludności. Współcześnie remedium na prze-

ludnienie stała się kontrola urodzeń. Tym niemniej powstała na przełomie XVIII i XIX wieku koncepcja Thomasa Roberta Malthusa nie pozostawiała złudzeń - wzrost liczby ludzi na Ziemi trzeba ograniczać. Wokół tej tezy od dwustu lat trwa wielki spór intelektualny.

\*

Występuje oczywiście silna polaryzacja stanowisk. Po jednej stronie mamy argumenty, że nawet gdy powstają sytuacje, chwilowego na ogół, „nadmiaru” ludzi, ów nadmiar zwykle jest przekuwany w zmiany społeczne prowadzące do rozwoju. Nie jest odosobniony pogląd, że wzrost liczby ludności należy zostawić samemu sobie, a kontrola urodzeń, przynajmniej znaczna część związanych z nią praktyk, narusza „naturalny porządek rzeczy” i powinna być odrzucona z pobudek etycznych. A po drugiej stronie zdarza się słyszeć, że redukcja liczby ludzi ma głównie skutki dobroczynne, bo wówczas więcej z ogólnej puli zasobów przyrody i wytworzonego bogactwa przypada na każdego z pozostałych. Typowym argumentem jest wskazywanie na swoistą „zbędność ludzi” w sytuacji, gdy mogą oni być zastępowani przez technologiczne artefakty. Moim zamierzeniem jest zniuansowanie tego dyskursu, wykorzystując do tego przypadek współczesnej Polski.

Jesteśmy społeczeństwem o jednym z najniższych na świecie poziomie urodzeń. Od wielu lat na parę rodziców przypada mniej niż dwoje dzieci, co oznacza, że następujące po sobie generacje są coraz mniej liczne, a jednocześnie trwa silny odpływ ludzi za granicę, przeważnie bardzo młodych. Powstaje pytanie, czy będzie to sprzyjać przemianom społecznym i ekonomicznym niezbędnym do zasypania luki modernizacyjnej, czy też - wprost przeciwnie - te przemiany udaremni lub osłabi.

Zanim wdam się w przedstawienie zapowiadanych „niuansów”, pozwolę sobie przywołać dość powszechny argument zwolenników tezy o korzyściach wspomnianej „depresji demograficznej” Polski. Powiada się mianowicie, że gdyby nie osłabienie rozrodczości zapoczątkowane ćwierć wieku temu i emigracja w pierwszej dekadzie obecnego stulecia, mielibyśmy na rynku pracy kilka milionów więcej bezrobotnych, może trzykrotnie więcej niż obecnie, i tym samym - spotęgowany problem wykluczenia społecznego i ekonomicznego. Zdaje się podpowiadać to elementarna arytmetyka. Jest to jednak pogląd niesłyszanie krótkowzroczny.

By tę ocenę uzasadnić, posłużę się argumentem *a rebours* i sięgnę do przypadku grupy szybko rozwijających się gospodarek, obejmującej między innymi Brazylię, Chiny, Indie, Indonezję, Meksyk, Nigerię i Turcję. Przed 50 laty te kraje przechodziły swą eksplozję ludnościową, znajdowały się w tzw. pułapce rozwojowej, w zakłętym kręgu ubóstwa oraz stały w obliczu endemii głodu. Nie wróżono im pomyślnych perspektyw rozwojowych, wręcz przeciwnie - nierzadkie było przewidywanie uwarunkowanej demograficznie katastrofy. Na przykład, w latach 1950-2010 populacja Meksyku i Nigerii zwiększyła się aż czterokrotnie, a Brazylii, Indii i Turcji - trzykrotnie.

Tymczasem nie tylko nie doszło do kataklizmu, ale wśród 15 największych potęg ekonomicznych kilku najbliższych dekad znalazły się wszystkie wymienione przeze mnie kraje. Zgodnie z przewidywaniami PricewaterhouseCoopers, poważnego ośrodka analiz ekonomicznych, w latach 2010-2050 Produkt Krajowy Brutto w każdym z nich wzrośnie co najmniej 6-krotnie, a w kilku - nawet ponad 10-krotnie. Natomiast w największych „starych” gospodarkach Europy, Ameryki Północnej i Japonii, które od wielu lat odczuwają niedobór ludności, ten wzrost będzie kilkakrotnie mniejszy, wręcz znikomy. W efekcie, za 30-40 lat kraje ciągle jeszcze określane mianem „mniej rozwiniętych” będą wiodły prym w gospodarce światowej, pomimo że ekspansja demograficzna będzie w nich na ogół kontynuowana.

Ten przykład dowodzi, że nawet współcześnie, w świecie wyrafinowanych technologii, nieustannych zmian i ostrej konkurencji, jest możliwy przełom w rozwoju gospodarczym, równoznaczny - nie waham się tego powiedzieć - ze skokiem cywilizacyjnym. Szczególny charakter tego przypadku wiąże się ściśle z kwestią ludnościową.

Opisaną sytuację można - nie popełniając przy tym nadmiernego uproszczenia - uogólnić i wyrazić za pomocą następującej obserwacji: w żadnej ze znanych dotąd cywilizacji długookresowa zapasła ludnościowa nie sprzyjała umocnieniu potęgi państwa lub gospodarki, raczej działała osłabiająco. Z drugiej strony - upadkowi cywilizacyjnemu zazwyczaj towarzyszył regres demograficzny. „Zdrowe” państwo i społeczeństwo potrzebują dopływu ludzi.

\*

Polska stanowi dziś swoiste laboratorium, w którym opisane wyżej zjawiska przejawiają się w skali spotęgowanej. Po dekadach pozo-

stawania na peryferii gospodarki światowej i dryfowania w obcisłym gorsecie socjalistycznego planowania i centralnego rozdzielnictwa, kraj otworzył się szeroko na świat, a w gospodarce zostały uruchomione mechanizmy rynkowe stwarzające możliwości bardziej racjonalnego i efektywnego działania. Pojawiły się optymistyczne oczekiwania, a elity polityczne snuły ambitne strategie rozwojowe.

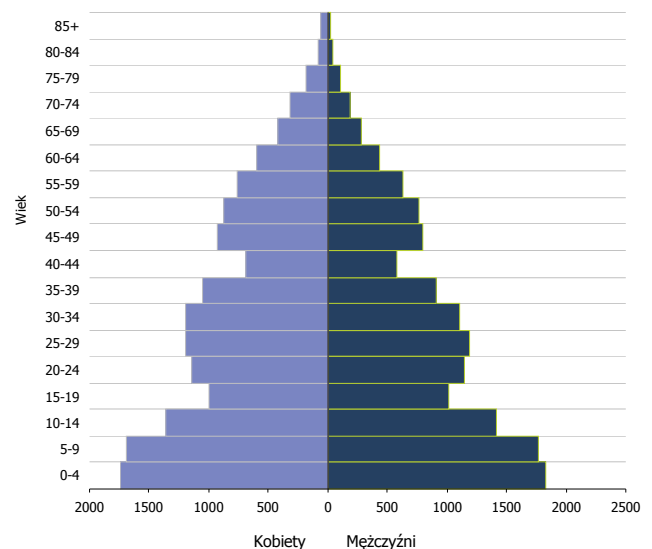
Zastanówmy się wspólnie, czy sprzyja temu sytuacja demograficzna Polski. Daleki jestem jednak od sugerowania, że korzystna sytuacja demograficzna jest wystarczającą przesłanką trwałego sukcesu rozwojowego.

Rozpatrzmy najpierw zmiany w zaludnieniu Polski, przyjmując 100-letnią perspektywę od 1960 do 2060 roku. Po pierwsze, okazuje się, że z biegiem czasu coraz bardziej słabł przyrost ludności, a po drugie, z silnie dodatniego zmienił się on na silnie ujemny. W konsekwencji, w pierwszej połowie tego okresu wielkość populacji zwiększyła się o ponad 7,5 miliona osób, a w drugim - obniżyła o blisko 7 milionów. Bilans demograficzny stulecia będzie zatem niemal zerowy.

Podstawowym rysem zmian demograficznych w tym czasie nie są jednak różnice w poziomie zaludnienia, lecz głębokie zmiany w strukturze populacji. Chciałbym w tym momencie odwołać się do ilustracji graficznej.

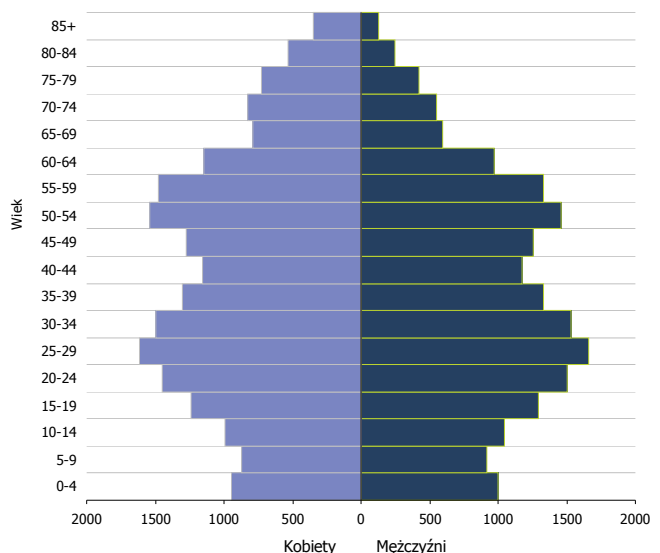
Oto struktura ludności Polski według wieku w 1960 roku. Najliczniejsze były wówczas dzieci, blisko 7 milionów nie przekroczyło 10 roku życia, natomiast bardzo niewiele było ludzi starych, zaledwie 200 tys. osób ukończyło 80 lat.

#### Ludność Polski według płci i wieku w 1960 roku (w tys.)



50 lat później (trzy lata temu) liczba dzieci była już wyraźnie mniejsza, a osób bardzo starych -- większa. Bardzo silnie zwiększyła się grupa osób młodych, w wieku produkcyjnym, spośród których jednak około 10 procent mieszkało i utrzymywało się za granicą.

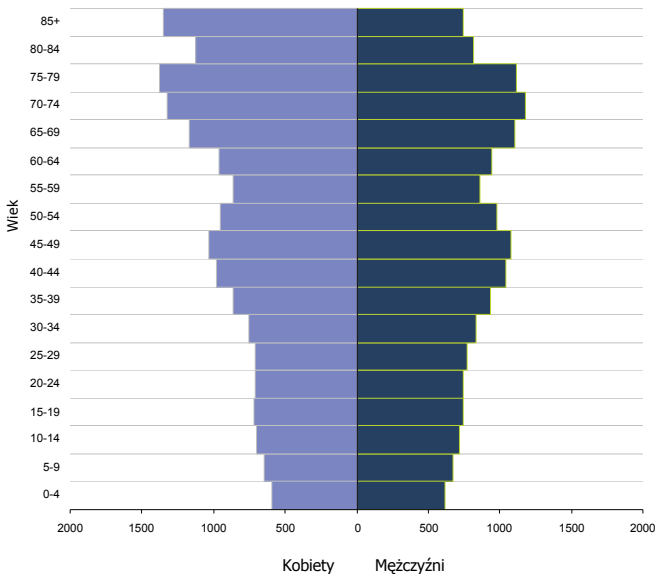
#### Ludność Polski według płci i wieku w 2010 roku (w tys.)



Za niespełna 50 lat, w 2060 roku, w skład populacji Polski wejdzie zaledwie nieco ponad 2 miliony dzieci, ponad trzy razy mniej niż sto lat

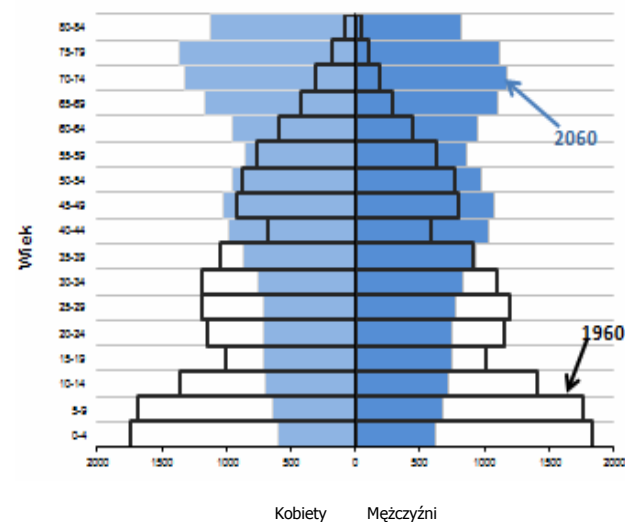
wcześniej, pomimo że wielkość całej ludności nieco wzrośnie. Natomiast znacznie więcej będzie osób 80-letnich lub starszych - około 4 miliony!

### Ludność Polski według płci i wieku w 2060 roku (w tys.)



Porównajmy stan końcowy z początkowym.

### Ludność Polski według płci i wieku w 1960 i 2060 roku (w tys.)



Widać ogromny deficyt dzieci i młodzieży i przytłaczającą przewagę starszych roczników. W ciągu 100 lat spodziewamy się zatem zmiany fundamentalnej: nieznacznie większa ludność będzie strukturalnie inna - 100 osób w wieku produkcyjnym będzie musiało zapewnić utrzymanie 70 osobom w wieku emerytalnym, oprócz samych siebie i własnych dzieci. Dziś - tylko 20 takim osobom, a 50 lat temu - 10. Wcześniej na 10 osób w wieku sędziwym przypadało ponad 300 dzieci, a w przyszłości - będzie ich zaledwie pięcioro. Nie wchodząc w szczegóły, odpowiedź na nurtujące nas pytanie musi zatem być zdecydowanie pesymistyczna: sytuacja demograficzna Polski nie będzie korzystna dla realizacji ambitnych aspiracji rozwojowych społeczeństwa.

\*

Starzenie się populacji to proces charakterystyczny dla nowoczesnych społeczeństw, w których pojawił się nowy, nieznan wcześniej typ reprodukcji biologicznej. Wielkie zmiany społeczne, jakie w XIX i XX wieku dokonały się w Europie (i - z pewnym opóźnieniem - poza nią), przyczyniły się do radykalnego obniżenia ryzyka śmierci, zwłaszcza najmłodszych dzieci, oraz wydłużenia trwania ludzkiego życia - przeciętnie z około 25-30 do około 80 lat. W warunkach wcześniejszego typu reprodukcji wysoka śmiertelność dzieci wymuszała wysoką rozrodność. Duża liczba urodzeń w rodzinie była warunkiem przetrwania biologicznego. Gdy jednak ryzyko zgonu dzieci stało się bardzo niskie, powstały przesłanki do ograniczania rozrodności, a środkiem do tego była regulacja urodzeń. Proces dopasowywania się liczby urodzeń do niskiego poziomu liczby zgo-

nów stał się doświadczeniem niemal wszystkich współczesnych społeczeństw. Starzenie się populacji stanowi jego bezpośredni efekt: malejące liczby nowonarodzonych wywołują relatywny wzrost znaczenia w populacji ludzi starszych, a niskie ryzyko śmierci umożliwia większej liczbie ludzi dożycie do starszego wieku.

\*

Starzenie się ludności Polski dopiero się nasila, ale - niemal nieuchronny - dalszy jego przebieg (widoczny na wykresie), będzie bardziej gwałtowny i mocniej odcisnie się na strukturze populacji niż w większości innych krajów Europy. Silna emigracja w warunkach bardzo niskiej rozrodności i oczekiwana w kilku najbliższych dekadach depopulacja Polski również nie są zjawiskami typowymi dla Europy ani - w przeciwieństwie do starzenia populacji - nie są konsekwencją opisaną zmiany typu reprodukcji ludności związanej z procesami modernizacyjnymi.

Polska stoi w obliczu specyficznej, złożonej i obfitującej w poważne wyzwania cywilizacyjne sytuacji demograficznej. Co jest źródłem tej intrygującej i niepokojącej polskiej specyfiki? Po pierwsze, utrzymujący się od połowy lat osiemdziesiątych XX wieku spadek liczby urodzeń, a po drugie - wysoki poziom emigracji.

Spadek liczby urodzeń wynika z ograniczania liczby dzieci w rodzinie oraz ze zmian w „organizacji” rodziny - opóźnienia lub częstszego unikania jej tworzenia, częstszego jej rozpadu oraz pojawienia się na szerszą skalę form rodziny niesprzyjających prokreacji, zwłaszcza wielodzietności. W Polsce doszło do tego, że już od blisko 25 lat na jedną kobietę (lub na parę dorosłych osób) przypadają średnio mniej niż dwa urodzenia, przy czym od 1997 roku - mniej niż półtora urodzenia. Według aktualnego stanu, 100 potencjalnych rodziców pozostawi po sobie 65 dzieci, a więc o ponad jedną trzecią za mało, by generacja dorosłych została w pełni zastąpiona przez generację ich dzieci. To jeden z kilku najniższych poziomów dzietności na świecie. A zgodnie z wiarygodnymi przewidywaniami, dotkliwy niedobór urodzeń będzie się utrzymywał w najbliższych dziesięcioleciach.

Nie jest to sytuacja typowa w Europie ani gdziekolwiek poza nią. Na przykład, w zachodniej części Europy liczba dzieci przypadająca na parę rodziców jest o 20-30 procent wyższa. Nie do końca wiadomo, dlaczego w polskim społeczeństwie - ceniącym wartości rodzinne i bardziej religijnym niż wiele innych, a przy tym napotykałym na utrudnienia w regulacji urodzeń - tak silnie zakorzeniła się niechęć do prokreacji. Prawdopodobnie wynika to z dość rzadkiego zbiegu okoliczności. Do podstawowych należą: po pierwsze, uzasadniona wcześniej, obiektywna długookresowa tendencja do płodzenia niewielkiej liczby potomków, po drugie, pojawienie się nowych, w dużym stopniu zapożyczonych wartości i wzorów kulturowych promujących autonomię jednostki a nawet zachowania egoistyczne, po trzecie, trudności budowania rodziny stwarzane przez specyficzne warunki „polskiej transformacji”, takie jak niepewność zatrudnienia oraz atrofia opiekuńczej roli państwa, i po czwarte, swego rodzaju „wytransferowanie” z kraju znacznej liczby urodzeń w związku z silnym odpływem za granicę młodych ludzi. Realnym skutkiem tych okoliczności jest stosunkowo duża skala takich zjawisk, jak odrzucanie w czasie momentu założenia rodziny, wchodzenie przez potencjalnych młodych rodziców w nietrawne, niesprzyjające prokreacji relacje partnerskie, decydowanie się na samotne wychowywanie dziecka, bezdzietność lub drastyczne ograniczanie liczby własnego potomstwa, a w skali całego społeczeństwa - niezwykle niska rozrodność.

Systematycznie malejąca liczba urodzeń ogromnie wzmacnia starzenie się populacji. W wielu krajach w takiej sytuacji czynnikiem łagodzącym jest masowa imigracja, bowiem imigrantami są w przeważającej mierze ludzie młodzi, potencjalni rodzice, a do tego w rodzinach imigranckich zwykle rodzi się więcej dzieci niż w przypadku ludności rodzimej. Jednakże Polska jest obecnie krajem masowej emigracji, a imigracja ma w niej, i przez wiele jeszcze lat będzie mieć, charakter śladowy. Wiele krajów doświadczało lub doświadcza odpływu ludności za granicę, jednak dzieje się to w warunkach wysokiej rozrodności, która bywa jedną z przyczyn emigracji, ale zarazem kompensuje związany z nią uszczerbek populacji. Tymczasem we współczesnej Polsce oba czynniki działają w tym samym kierunku, wspólnie osłabiając substancję demograficzną.

Przez kilka dziesięcioleci, aż do początku obecnego stulecia, trwały odpływ ludności za granicę był ograniczany, najpierw głównie przez restrykcje paszportowe, a po 1988 roku - przez brak swobodnego dostępu polskich obywateli do zagranicznych rynków pracy. Na skutek usunięcia tych ograniczeń, od momentu wejścia Polski do Unii Europejskiej trwale wyemigrowało wprawdzie niewiele po-



nad 220 tysięcy osób, ale kilkakrotnie zwiększyła się liczba Polaków, którzy - chociaż z powodów administracyjnych nie są uważani za emigrantów - mieszkają i utrzymują się za granicą. Ich liczba przekracza obecnie 2 miliony. A ponieważ wśród migrujących zdecydowanie przeważają osoby między 20 a 35 rokiem życia, uszczerbek liczebny w tej grupie populacji sięga 10 procent jej stanu. Jednym ze skutków tego odpływu jest to, że za granicą urodziło się w ostatnich latach około 100 tysięcy dzieci, które - gdyby nie emigracja ich rodziców - zapewne przyszłyby na świat w Polsce.

Jakie są powody tak dużej w naszym społeczeństwie skłonności do wychodźstwa? Moim zdaniem, szukać ich trzeba wśród historycznie uwarunkowanych źródeł zapóźnienia przemian modernizacyjnych.

Weźmy pod uwagę podstawowe charakterystyki nowoczesnej gospodarki - wykazuje ona przeważający udział usług i produkcji przemysłowej w działalności ekonomicznej, jak również jest oparta na regulacji rynkowej i transakcjach pieniężnych oraz wspomagających rynek i pieniądź instytucjach, takich jak system bankowy i ubezpieczeniowy. Zanikają cechy gospodarki przednowoczesnej z charakterystycznym dla niej i dominującym sektorem naturalnym, takie jak wytwarzanie znacznej części produktów i usług na własne potrzeby oraz bezpieniężna wymiana i także opłacanie ludzkiej pracy. Ludzie wcześniej czerpiący środki utrzymania z sektora naturalnego wkraczają na rynek, w związku z czym przenoszą się ze wsi lub miasteczek do dużych miast, w których działają rynki oraz rozwijają przemysł i usługi. Gdy w pobliskich miastach jest zbyt mało miejsc pracy, podejmują migracje na dalsze dystanse, również za granicę. W tym sensie, procesy rozwojowe generują i napędzają mobilność terytorialną.

Doświadczenia bardziej rozwiniętych gospodarek dowodzą, że ostatecznie sektor naturalny zanika i niemal cała ludność funkcjonuje w sektorze nowoczesnym. W każdym przypadku znaczącą rolę w tym procesie odgrywa masowa emigracja, zwłaszcza ze względu na zbieżność w czasie tej przemiany z występowaniem wysokiego przyrostu naturalnego ludności.

Nie od rzeczy będzie dodać, że w społeczeństwie mającym rozwinięte instytucje opiekuńcze i solidarności społecznej trwanie sektora naturalnego przyczyniałoby się do znacznych kosztów. Duże grupy ludności wymagałyby wsparcia państwa na przykład w formie dotacji, ulg podatkowych lub ubezpieczeniowych czy zwolnień z zobowiązań na rzecz funduszy socjalnych. Potrzebne zaś na to środki, uzyskiwane za pomocą tak czy inaczej realizowanej redystrybucji dochodów, ograniczałyby potencjał rozwojowy gospodarki. Biorąc to pod uwagę, można twierdzić, że emigracja tych ludzi dodatkowo sprzyjałaby unowocześnieniu.

Wracam do wątku najnowszej emigracji z Polski. Otóż w dużym stopniu stanowi ona - moim zdaniem - konsekwencję niedopuszczenia do odpowiednich przemieszczeń ludności w czasie, gdy dokonywała się fundamentalna zmiana struktury gospodarczej, tzn. w okresie PRL. Powstał wtedy olbrzymi „nawis migracyjny”, który wyrażał się w istnieniu kilkumilionowej rzeszy ludzi zbędnych w swoich miejscowościach, dla których nie było trwałego miejsca w rozwijających się polskich miastach i którzy także nie mieli szans na emigrację i osiedlenie się za granicą. Takich szans, jakie pojawiły się po 1988, a zwłaszcza od 2004 roku.

Zapoczątkowana blisko dziesięć lat temu masowa emigracja objęła w dużym stopniu ludność obszarów słabiej rozwiniętych, wiejskich lub małomiasteczkowych, cechujących się obecnością relikwów gospodarki naturalnej i nie dysponujących zasobami wystarczającymi do wchłonięcia ich mieszkańców w główny nurt przemian. Odpływ tych ludzi osłabiał presję na krajowy rynek pracy, nadal po kilkunastu latach transformacji charakteryzujący się znacznymi nadwyżkami podaży siły roboczej. Stwarzał ogromną szansę na dokonanie przełomowych, głębokich reform gospodarczych, zwłaszcza że pojawiły się odpowiednie środki kapitałowe płynące z funduszy strukturalnych Unii Europejskiej.

Emigracja, pomimo że w tym okresie przyczyniała się do zaostrezenia opisanej wcześniej zapaści demograficznej, mogła zatem mieć korzystny i trwały efekt modernizacyjny. Gdyby - w wyniku zamierzonych, lecz niezrealizowanych dotąd reform - udało się poprawić funkcjonowanie instytucji państwa i efektywność gospodarowania, np. zwiększyć innowacyjność przemysłu, podwyższyć wydajność pracy, wzmocnić elastyczność funkcjonowania rynku pracy, ograniczyć marnotrawstwo zasobów i korupcję, to gospodarka stałaby się bardziej konkurencyjna i stabilna. Zapewniłoby to podstawy dla trwałego rozwoju, z systematycznym wzrostem poziomu zatrudnienia

i dochodów. To zaś mogłoby nie tylko umożliwić państwu prowadzenie skuteczniejszej polityki rodzinnej, a młodym Polakom śmielsze podejmowanie decyzji rodzicielskich, ale też samo w sobie zachęcałoby niedawnych emigrantów do powrotu oraz przyciągałoby więcej imigrantów.

W krótkim okresie - w sytuacji wysokiego poziomu bezrobocia i stosunkowo rozległego sektora na wprost naturalnego - bardzo niska rozrodność i wysoka emigracja sprzyjały reformom modernizacyjnym. Zupełnie inaczej trzeba jednak postrzegać te zjawiska w długiej perspektywie. Wzmacniają one bowiem i przyspieszają depopulację i starzenie się społeczeństwa.

\*

Trendy demograficzne, perspektywa zmian ludnościowych - to szczególnie ważny sposób postrzegania kondycji społeczeństwa. Wahania, nawet załamania na giełdzie nie pozwalają na trafną diagnozę głównych zagrożeń, zwłaszcza tych istotnych dla długiego trwania. Absolutyzowanie koniunktury gospodarczej w ostatnich kilkudziesięciu latach, przejawiające się między innymi w popularności monetarizmu i wierze, że za pomocą instrumentów finansowo-pięniężnych można zapewnić trwałe zwiększanie ogólnego dobrobytu, stało się jednym z głównych źródeł obecnego kryzysu. Wielkie zadłużenie publiczne, z którym będą się musiały zmierzyć przyszłe pokolenia, i patologie, takie jak pojawienie się niebotycznych komiń dochodowych, stały się powodem spadku poziomu zaufania i spójności społecznej.

Inaczej niż notowania bieżącej koniunktury, wskaźniki demograficzne są wyczulone na zmiany strukturalne. Wybitny historyk doktryn politycznych i socjolog Gaetano Mosca tuż przed wybuchem II wojny światowej dowodził, że upadkowi porządku politycznego towarzyszy topnienie fundamentów demograficznych społeczeństwa, między innymi na skutek wzmożonej emigracji. Z kolei współczesny ekonomista Albert Hirschman - w swej wpływowej koncepcji zachowań członków organizacji ekonomicznej lub politycznej w odpowiedzi na obniżanie się jej standardów i oczekiwanych korzyści - twierdził, iż utrata zaufania do państwa, gdy zawiedzie droga krytyki, protestu i proponowania zmian (nazwana „*voice*”), prowadzi do wyboru przez ludzi opcji, którą określa terminem „*exit*”, wyście, czyli do opuszczenia systemu, co przybiera formę bardziej czy mniej zaawansowanej „emigracji wewnętrznej” albo wyjazdu z kraju. Zachowania demograficzne są zatem głęboko osadzone w długofalowych i złożonych procesach społecznych. Są ich wrażliwym symptomem, ale też w dużym stopniu wpływają na ich przyszłe zmiany.

W odróżnieniu od takich sfer jak technologia, ekonomia czy organizacja życia społecznego, stosunkowo odległa przyszłość demograficzna nowoczesnego społeczeństwa, nie tylko Polski, jest dość dobrze rozpoznana. Na modyfikację stanu i struktury ludności za 30 czy 50 lat będziemy mieć niewielki wpływ, na zmiany w innych dziedzinach - znacznie większy, choć z pewnością nie będzie to łatwe ani bezbłędne.

Przyszła sytuacja będzie uderzająco odmienna od doświadczanej przez obecne generacje, które dojrzywały i formowały się społecznie w warunkach silnej dynamiki i młodości demograficznej. Ustabilizowana liczebnie albo malejąca, a przy tym postarzała ludność, stworzy wyzwania, które naruszą stabilność sfery ekonomicznej czy politycznej oraz wymuszą specyficzne rozwiązania technologiczne. Zmniejszy się dynamika popytu konsumpcyjnego i zasadniczo zmieni się jego struktura, ograniczone zostaną zasoby siły roboczej, zmieni się organizacja pracy, wielkie przesunięcia nastąpią w strukturze zatrudnienia wymuszając przeobrażenia systemu kształcenia. Osłabnie przy tym zasób ludzi młodych, z natury mobilnych i innowacyjnych, natomiast pojawią się nowe potężne grupy interesu wyrażające konserwatywne, partykularne potrzeby ludzi starych i naruszające układ sił politycznych. Pociągnie to za sobą konieczność stworzenia właściwych kompleksowych strategii i zmobilizowania do ich realizacji odpowiednich środków oraz poparcia społecznego. W obecnej sytuacji - rozbudzonych oczekiwań konsumpcyjnych i poszerzenia zakresu czasu wolnego od pracy, zakorzenionego nawyku wygodnego i bezpiecznego życia, a zarazem konieczności spłacania długu publicznego - będą to wyzwania wymagające wielkiej odpowiedzialności i wysiłku całego społeczeństwa. Niestety, nie można nie skonstatować, że świadomość tych wyzwań, a zwłaszcza ich obecność w dyskursie intelektualnym i politycznym, jest daleka od zadowalającej. W tym kontekście pogląd Jeana Bodina i wielu innych myślicieli - „nie ma bogactwa ponad ludzi” - nabiera szczególnego znaczenia i odsłania swój pełny sens.

**Dziękuję Państwu za uwagę.**